

Gra część szósta — Kazjuno

Od autora: W poprzednich odcinkach było o uwikłaniu moich głównych aktorów realizowanego filmu w warszawski półświatek cichodajek, alfonsów i prostytutek oraz, o kontrolujących ów seks biznes peerelowskich służbach.

W poniższych rozdziałach będzie o dalszych losach tworzonoego filmu i o jego autorze.

Twórcą tego filmu byłem osobiście i snuta tu wspomnieniowa opowieść bazuje dość rzetelnie na przeżytych przez autora wydarzeniach.

Zajmującego czytadła, wraz z pozdrowieniami, życzę Wam Autorki i Autorzy oraz Czytelnicy.

Wasz pupilek, Kaz

Rozdział 11 *Trzeba skończyć film*

Kiedyś, w czasie filmowania na ulicy, rzucił się na nas menel z harcerskim nożem – finką. Na szczęście był na tyle pijany, że po paru chwiejnych susach runął jak długi na chodnik. W popłochu uciekaliśmy z kamerą i dogoniła nas jedynie wiązanka wulgaryzmów, z której wynikało, że jak nas dopadnie, to stanie my się ofiarami analnego gwałtu. Jego wściekłość wywołała pracująca kamera, którą zbliżyliśmy do towarzyszącej mu kobiety o obrzękłej buraczkowej twarzy. Od pary degeneratów wionął odór denaturatu.

Nieźłym aktorem, powiedziałbym, zdecydowanie lepszym od Moniki, okazał się Adam. Monika efektownie wypadła na ujęciach rozpoczynających film. Zagrała skąpo ubraną panienkę, kokietującą uwodzicielskimi pozami starszego wiekiem fotografa utrwalającego jej urodę. Potem miałem z nią niemało kłopotów. Kilkukrotnie po kłótniach z Adamem (grającym główną rolę męską) traciła nad sobą panowanie. Kiedyś musieliśmy przerwać zdjęcia w parku, bo określiła Adama kretyńcem i rzuciła w niego ubiegłorocznym kasztanem. On, zapewne stosując esbeckie instrukcje, nakazujące cichodaje trzymać w żelaznych ryzach, dał jej z liścia w twarz. Monika wpadła w histerię. Roztrzęsiona zarzuciła na siebie ortalionową kurteczkę, podniosła z ławki torebkę i pąsowa ze złości, opuściła plan zdjęciowy. Na odchodne krzyknęła z irytacją.

– Nie będę grała z... – i powstrzymała się, by go obelżywie nie określić.

– No dokończ – warknął – mogę ci poprawić z drugiej strony.

– Jak znajdziecie inną, to zrozumiecie, że jestem odpowiednią kandydatką na filmową gwiazdę!

Musieliśmy nakręcić tego dnia jeszcze dwa ujęcia, pobiegłem za naszą starletką, bo nazajutrz zaplanowaliśmy zdjęcia na kolejnej dyskotecie. Zależało mi jednak, żeby wzięła udział w zdjęciach i była w dobrej formie. Odwiozłem ją na Ochotę i spędziłem z nią kilka nocnych godzin na schodowej klatce.

Choć wyraźnie miała ochotę na zwierzenia, nie zaprosiła mnie do mieszkania, chyba wstydząc się pijanej matki.

Właśnie wtedy opowiedziała mi o swoim dzieciństwie. Pewnie za sprawą relacji Adama, musiała mnie uważać za szemranego typu, skoro grubo po północy rozpoczęła mówić o swoich burzliwych erotycznych przygodach minionego roku. Bez żenady wymieniała znanych mi warszawskich z dyskotek cinkciarzy i alfonsów, z którymi uprawiała seks. Wyjaśnię tu, że poznawałem ich jako „bramkarz”. My dyskotekowi ochroniarze byliśmy wtedy w Warszawie swoistą elitą. Wystarczyło przy wejściu do nocnych lokali, pokazać przypinaną na czas pracy plakietkę Służba Porządkowa, by za darmo wchodzić do wszystkich przybytków rozrywki.

– Naprawdę znasz Malinowskiego? Tego, co jeździ Mustangiem? – zapytała z niedowierzaniem. – Waliłam się z nim w zeszłym roku w Sopocie. To było niesamowite, robiliśmy to w morzu.

Dobrze, że na schodach było ciemno, mogłem się zarumienić, jej opowieści mnie szokowały. Nawet odniosłem wrażenie, jakby i mnie chciała ośmielić, żebym ją przeleciał. Czułem niesmak. Pomyślałem: taka gówniara, a miała już tylu facetów.

Był z nią też inny problemem, chodziło o jej aktorstwo. Kiedy Joński włączał kamerę,

Monika, chcąc uchodzić za piękność, w nienaturalny sposób zwężała nos, co jak mogła sądzić uszlachetniało jej rysy. Stwarzało to wrażenie udawania damy z wyższych sfer. Tępiłem ją za przybieranie min, które w jej mniemaniu dodawały rody.

Wydawały się sztuczne, więc musieliśmy powtarzać ujęcia. Już wiedziałem, że pochodzi z patologicznej rodziny. Chyba chcąc to ukryć, bezwiednie przybierała pretensjonalną minę.

Raz zdenerwował się stojący za kamerą Joński.

– Przestań zgrywać się na wielką damę i tak nie ukryjesz swoich proletariackich korzeni! – krzyknął, po zepsuciu kolejnego kawałka ernerdowskiej taśmy.

Monika skoczyła na Andrzeja z zaciśniętymi pięściami, jakby chciała go bić. Wpadłem między nią i kamerzystę. Próbowałem ratować bezowocnie tracony czas.

– Zrozum – wysiliłem się na ugodowy ton. – Jesteś naprawdę ładną dziewczyną. Nawet wyjątkowo ładną – podkreśliłem. – Mnie i Andrzejowi zależy jednak, żebyś była bardziej naturalna. Może kiedyś zagrasz księżną Lubomirską, wtedy taka mina będzie okej, ale nie teraz, kiedy występujesz jako beztroska bywalczyni dyskotek.

W mojej wypowiedzi pewnie wyczuła krztynę ironii. Zamiast się uspokoić, usiadła i paliła papierosa za papierosem.

Tego popołudnia musieliśmy przerwać zdjęcia, ponownie nie była w stanie grać banalnego epizodu.

* * *

Zdjęcia ukończyliśmy na początku czerwca. Poza siedmuset metrami taśmy ORWO, które wygrałem na konkursie w klubie Limes, przydzielono nam dodatkowe czterysta. Dzięki umowie klubu Limes z wojskową wytwórnią Czołówka wywołano naświetloną kopię roboczą.

W tym też czasie wywalono mnie na bruk z akademika przy ulicy Kopińskiej. Tam mieszkałem nielegalnie przez rok, a na wieczornych dyskotekach zarabiałem jako bramkarz. Kierownik bramki, zwalisty koszykarz, niesprawiedliwie zarzucił mi kradzież pieniędzy z kasy za bilety wstępu. Nie miałem gdzie mieszkać.

* * *

Postanowiłem wrócić na lato do Szczawna-Zdroju i tam wstępnie uporządkować ponad kilometr nakręconego filmu. W domu Rodziców pojawiłem się z walizkami zawierającymi obok ubrań, pudła z filmem, ręczną przeglądarką na korbkę i zatrzaskową sklejką do łączenia perforowanej taśmy. Rozpakowując się, akcesoria filmowe schowałem pod łóżko.

O dziwo Ojciec przywitał mnie dość łaskawie. Przyglądał mi się badawczo i widząc moją zakłopotaną minę, zapytał.

– No jak Kaziu? Mam nadzieję, że wreszcie wywietrzały ci z głowy filmowe fanaberie?

– Trudno powiedzieć. Może jeszcze nie do końca, ale muszę to jeszcze przemyśleć – dodałem, specjalnie nadając głosowi niepewną tonację.

Już dawno nie zdrobnił mojego imienia tak przymilnym głosem. Obudziła się we mnie podejrzliwość, postanowiłem grać potulnego baranka.

Pomyślałem, że zreformował poprzednią taktykę wywierania na mnie krzykliwej presji i zamierza zamienić ją na łagodną perswazję. Pewnie niebawem powie, że pomoże załatwić mi pracę w wałbrzyskim przemyśle. Ma nadzieję, że życie skopało mi tyłek i zacząłem poważnie myśleć. A potem? Na pewno wróci do zgranej melodii. Będzie nalegał, żebym wznowił studia na politechnice w trybie wieczorowym. „Miałbyś swoje pieniądze i oszczędził sobie wstydliwego życia na naszym garnuszku. Żaden sąsiad nie pytałby mnie, czy dalej jesteś społecznym pasożytem i doisz matkę z pieniędzy?” – wyobrażałem sobie typowe dla Ojca zakłęcia. Nie wykluczałem jednak jego normalnej reakcji, Kiedy zacznę się migać od podjęcia pracy w śmierdzącej węglowym pyłem kopalni, czy cuchnącej dymem i fenolem koksowni, jak kiedyś złapie się za serce i będzie symulował zawał, albo nie wytrzyma i zacznie wrzeszczeć.

„Masz już nicponiu dwadzieścia sześć lat i toniesz w bagnie! Myślisz, że w tym kraju pozwolą ci, zrobić film na miarę ‘Przeminęło z wiatrem’?! Wybij to sobie z głowy. Co najwyżej, możesz zakłamywać historię. Kręcić pseudo dokument forsujący tezę, że katyńską zbrodnię popełnili Niemcy, a ci zza Buga to nasi wybawcy”.

Swoją drogą, znając takie argumenty Ojca, niejednokrotnie zastanawiałem się, czy jednak nie ma racji.

Razem ze mną na wakacje do rodzinnego uzdrowiska, zjechał serdeczny kolega o imieniu Andrzej (miał imię jak operator). On studiował w Warszawie budownictwo, łączyły nas wspomnienia wspólnych rozrywek i treningów kondycyjnych. Poza tenisem, w którym dostawałem od niego lanie na korcie, bo w

juniorach należał do czołowych szczawieńskich tenisistów, był utalentowanym dżudoką. Wciągnięto go do szerokiej kadry olimpijskiej. Dużo Andrzejowi zawdzięczałem. On załatwił mi na cały rok dach nad głową. Mając znajomości w studenckiej radzie mieszkańców, umieścił mnie jako waleta w akademiku. Ponadto, przedstawiając jako drugoligowego boksera, załatwił pracę „bramkarza”. Andrzej był szefem „bramki” na dyskotekach w największym klubie studenckim Stodoła. Raz tylko się „odwdzięczyłem”, pomogłem mu i jego bramkarzom pacyfikować bandę chuliganów ze Śródmieścia. Złamałem wtedy kciuka.

Kiedy na przeglądarce pokazałem Andrzejowi tańczącą Monikę, był nią zachwycony. Nie zdziwiłem się, gdy parę miesięcy później nasza filmowa „gwiazda”, włączyła go do nieskromnego grona kochanków. Kolega ze Szczawna był przystojnym i atletycznie umięśnionym facetem.

Pierwszy tydzień w rodzinnym uzdrowisku spędzałem głównie na kortach. Pobyt w pełnym zieleni i uroczych pensjonatów, słynnym przed wojną europejskim kurorcie, po trudach pracy nad filmem wydawał się sielanką. Zaliczyłem krótki flirt z uroczą studentką medycyny, której udzieliłem paru lekcji tenisowych uderzeń. Mniej przyjemne były walki na korcie, na które naciągał mnie Andrzej. Mimo wkładanego wysiłku byłem dla niego treningowym workiem. Wracałem do domu zadowolony, jak ugrałem parę gemów.

Już po paru dniach zauważyłem, że Ojciec zaczął tracić cierpliwość.

– Chciałbym z tobą poważnie porozmawiać – zaczepił mnie w holu, gdy wracałem z ziajany po kolejnym tenisowym laniu od przyjaciela z Warszawy. – Właśnie rozmawiałem z panem Baranowiczem. Mógłby od zaraz cię przyjąć na młodszego kreślarza.

Ugięły się pode mną nogi. W czasie poprzedniego urlopu dziekańskiego, który wzięłem, chcąc rozwinąć pięściarską karierę, pod wpływem ojcowskich nacisków podjąłem pracę w tym właśnie biurze konstrukcyjnym. Zajęcie polegało na przymusowym wielogodzinnym nieróbstwie. Jedno co było wolno, to oprzeć się głową o deskę kreślarską i wzorem innych kreślarzy zapadać w rzadko przerywany sen. Zanim się zatrudniłem, trenując dwa razy dziennie, harowałem nad poprawą walorów bokserskich. A właśnie u Baranowicza przy desce kreślarskiej, cały trud wkładany w boks zaczął się rozpadać jak przegniła konstrukcja. Pamiętam, jak po powrocie z kopalni odechciewało się wszystkiego, także treningu. Trener wybrał mnie do klubowej kadry na mecz z reprezentacją bokserską garnizonu sowieckich żołnierzy w Legnicy.

Zamiast wypunktować kałmuka, który wprawdzie parł na mnie jak czołg T-34, a prawie nie miał pojęcie o boksie, wdałem się z nim w bijatykę. Małą satysfakcją było, że raz po mojej kontrze padł na matę. Zostałem zdyskwalifikowany, za ciosy rzekomo w tył głowy. Wiadomo – pomyślałem o decyzji stronnicego ringowego arbitra – „przedstawiciel niezwyciężonej armii nie mógł przegrać”. Odchorowałem zainkasowane w tej walce ciosy. Przez dwa tygodnie, budząc się z nerwowych drzemek z głową opartą o deskę kulmana, nie wiedziałem, czy świszczy mi bardziej w głowie, czy słyszę nieznośne wycie znajdującej się za oknem turbiny szybu wentylacyjnego. Raz wyrwałem ze snu dwóch, błogo drzemiących obok kreślarzy. Śniło mi się, że wrywam się z łapsk klinczującego mnie kałmuka. Obudziłem się, kiedy przywaliłem w kulmana lewym sierpowym.

Nie tylko utrata bokserskiej formy była moim zmartwieniem. Spotykałem się jeszcze z seksi Ewusią i zawiodłem parę razy jako kochanek. Byłem przerażony, wydawało mi się, że zostałem impotentem?

To był koszmarny okres...

„Nie! Tylko żadna praca u Baranowicza”! – myślałem, kiedy natchniony ojciec objaśniał, czego mogę dokonać.

– W tobie Kazieńku nadzieja, bo twój brat... Cóż – Ojciec zaczerpnął powietrza, jak kiedyś usiłując podźwignąć sztangę, przez co coś strzyknęło mu w krzyżu. – On, zamiast zostać lekarzem, po AWF będzie magistrem od lania po mordzie. Był już na czwartym roku medycyny, Ech, co tu gadać. Wstyd, wstyd i jeszcze raz wstyd dla naszej rodziny.

Spojrzał na mnie błagalnie.

– Może jeszcze ty podtrzymasz rodzinną tradycję?

Tłumaczył, że zamiast spać oparty o deskę kulmana, mógłbym się uczyć, a pod kreślarską deską chować politechniczne podręczniki i po kryjomu wykształcić się na dyplomowanego inżyniera.

– Tak zrobił Ścipko. Znasz go, to mój kierownik mechanicznego warsztatu – wymienił nazwisko faceta o końskiej twarzy, który robił na mnie wrażenie debila. Teraz jest inżynierem. Ty byś tak nie potrafił? Przecież po wykształconych rodzicach masz predyspozycje, by także ukończyć wyższe studia – zakończył monolog.

Zobaczyłem, że ciężko sapie.

Przez następne dni Ojciec zerkał na mnie coraz bardziej podejrzliwie. Jakoś nie potrafiłem mu tego zrobić i powiedzieć, że olewam pomysł o inżynierskim dyplomie robionym po tajniacku na desce u Baranowicza. Byłoby mu przykro. Film miałem właściwie w proszku. Jedynie w godzinach przedpołudniowych, kiedy Ojciec bywał w pracy, porządkowałem nakręcone epizody. Już po paru podejściach odechciało mi się, żeby na przegłdarce na korbkę zajmować się ścinaniem dwugodzinnego materiału do zaplanowanych kilkunastu minut filmu. Równolegle należałoby budować dramaturgię montażem ujęć. Wiedziałem, że aby dokończyć film muszę wrócić do Warszawy. Może się uda usiąść przy prawdziwym stole montażowym w wytwórni na Chełmskiej? Były wakacje, klub Limes był zamknięty. Tkwiłem w Szczawnie coraz bardziej zadowolony jałową roślinnością. Zacząłem unikać ciągle namawiającego mnie na tenisowe sparingi Andrzeja. On się na korcie zwyczajnie nade mną pastwił. Już wolałem wielokilometrowe marszobiegi. Przypominały mi czasy bokserskich wzlotów. Wtedy i ja podczas paru walk demolowałem przeciwników. Stawałem się oprawcą i wstyd się przyznać, ale kiedy za to mnie chwalono, czułem się fantastycznie.

Z końcem lipca na deptaku koło pijalni wód mineralnych spotkałem jednego z chłopaków, których jako bokserski instruktor dwa lata wcześniej uczyłem boksować. Miał ksywę Figofago.

– Spaceruję, żeby wyrwać jakąś dupę – odpowiedział na zapytanie, co go sprowadziło do Szczawna.

Ze szczuplutkiego chłopaczka przeobraził się w mężczyznę. Zapytałem, czy jeszcze boksuje.

– No jasne – powiedział – dodał, że pracuje przy rozładunku wagonów. Musiałem się skrzywić, bo szybko zaczął wyjaśniać.

– Nie pamiętasz filmu Między linami ringów? Podobało mi się, jak trener powiedział w więzieniu do Ro-

ky Graciano, żeby się nie objął i nosił wiadra z piaskiem. Graciano posłuchał trenera i został mistrzem świata. Ostatnio robię jak Rocky, wzmacniam ogólne umięśnienie, w dodatku na dniówkę zarabiam siedem stówek. Jak chcesz, mogę ci załatwić robotę na wagonach – przekonywał mnie Figofago.

Posłuchałam go. Ojciec nie musi wiedzieć, jak zarabiam, wreszcie nie będę siedział na jego i Matki garnuszku. Do wagonowej łopatologii namówiłem też Andrzeja. Przemówił do niego argument o reprezentacji szwedzkich tenisistów, których trenerzy wysyłali na wyrąb lasów.

– Wzmocnili się treningiem nieswoistym, dlatego są najlepsi na świecie – zakończyłem trafiającą do niego argumentację.

Podobnym wywodem, do rozładunku wagonów zachęciłem brata, który jako bokserski instruktor, kończył zaocznie lekceważone przez Ojca studia.

Już po paru godzinach szuflowania piasku zaczęły wysiadać niewyrobione do pracy łopata mięśnie. Puchłem ja, puchł dżudoka – tenisista Andrzej, wymiękał brat bokser. Jedynie Figofago w równym tempie machał ciągle szuflą. Był gospodarskim synem, którego ojciec miał dwie krowy i pięć świń, z ciężką robotą miał do czynienia od dziecka.

– Gdybyście wiedzieli, ile ważą widły pełne gnoju? Piasek to pikuś – powiedział, chyba chcąc nas pocieszyć.

Naszej pracy z przymrużonym cynicznie okiem, przyglądał się otyły brygadzysta. Nie wiedziałem czemu, już parę razy znikał za wagonem.

„Ma zapalenie pęcherza, może rozwolnienie”? – pomyślałem.

Kiedy ponownie się pojawiał, jego twarz zdawała się coraz bardziej buraczkowa. Wreszcie krzyknął do Figofago.

– Skąd wytrzasnąłeś takich patafianów! Nie jesteście mężczyźni – zwrócił się do mnie, brata i Andrzeja. Pracujecie jak rozkraczone pizdy! Moje ludzie rozwalają taki wagon w trzy godziny.

– Panie Nawęzłak, co pan chce? Mają wyciągnąć chuje i rozwalac nimi wagon, żeby udowodnić, że są mężczyznami? Przecież się starają.

– Ty nie być taki mądry, bo jak cię kopnę w jaja, to już nigdy nie wleżesz na babę! – krzyknął Nawęzłak i zbliżył się do Figofago.

Poczuliśmy, zionący od brygadzisty odór wódki.

– Zabieraj stąd tych piździelców, bo jak nie, to sam ich popędzę.

Nagle, chwiejnymi susami doskoczył do Andrzeja i chwycił, jakby miał zamiar wyrzucić go z wagonu na platformę poniżej stojącej ciężarówki.

Zobaczyliśmy wysoko frunące nogi Nawęzłaka, po czym lecący brygadzysta wbił się twarzą w piasek. To

było podręcznikowe wykonanie rzutu: osoto gari.

Gdy brygadzysta podniósł głowę, ryknęliśmy śmiechem. Miał twarz oklejoną piaskiem, teraz plując i wycierając rękawem rozmazany na twarzy piach, wycofał się na pakę ciężarówki.

– Jurek, jedź na milicję! – krzyknął do przyglądającego się awanturze kierowcy. – Napadły na mnie chuligany, będziesz świadkiem.

Tak, po kilku godzinach machania łopatami, zakończyliśmy nieswoisty trening kondycyjny, którego dodatkową korzyścią miał być niezły zarobek. Od kilku dni Ojciec się do mnie nie odzywał. Był początek sierpnia, kiedy w sypialni Rodziców rozległo się natrętne dzwonienie telefonu.

– Kazek! Kaaaazek! – usłyszałem wołanie Ojca. – Do ciebie międzymiastowa z Warszawy – krzyczał, jakby wybuchł pożar.

Nie od razu, ale zrozumiałem, że podszyty przerażeniem głos Rodzica był krzykiem rozpacz. Wtedy zapewne zdał sobie sprawę, że zamiar wbicia mnie do szuflady z etykietką inżynier magister rozleciał się jak kopnięty z całej siły zamek z piasku.

– Jakiś idiota pyta, czy może rozmawiać z reżyserem Kazimierzem Junosza – powiedział, podając mi słuchawkę.

Usłyszałem głos mojego operatora. Andrzej Joński, radosnym głosem zachęcał mnie do szybkiego powrotu do Warszawy.

– Spotkało nas wyróżnienie. Zostaliśmy zaproszeni do Studenckiego Centrum Filmowego w Stodole. Mają tam stół montażowy, możemy ukończyć film...

Rozdział 12 *Reedukacja*

Nie po raz pierwszy na wyjazd do Warszawy wyprosiłem od Matki półtora tysiąka. Rzecz jasna, w tajemnicy przed Ojcem i Bratem. Zamieszkałem w gościnnym pokoju akademika polibudy na placu Narutowicza, jednak opłaty były słone. Już od pierwszego dnia po przyjeździe do stolicy zajechałem do nowo otwartego, nowoczesnego budynku Stodoły przy ulicy Batorego. Tam w obszernym pomieszczeniu dla sekcji filmowej stały dwa profesjonalne stoły montażowe. Szef Studenckiego Centrum Filmowego Jurek Karpiński początkowo patrzył na mnie podejrzliwie, zgodził się jednak, abym od razu mógł rozpocząć pracę nad filmem. Na podzielonych częściach filmowego materiału miałem z grubsza uporządkowane fabularne epizody. Wreszcie zacząłem montować sceny uliczne, praca ruszyła z kopyta.

Zmartwieniem był szybko chudnący portfel i groziło mi wyładowanie na ulicy. Rozważałem ewentualność zamieszkania u szanowanej przez Ojca dalekiej ciotki z Żoliborza. Miała jednak aspiracje sprowadzenia mnie na „właściwe tory”. Parokrotnie mi wytykała, że jestem zakałą rodziny. Nie chciałem, aby wiedziała o mojej filmowej działalności. Pewnie pozyskałaby argument, dowodzący, że brak mi piątej klepki. Byłem zrozpaczony. Pozostały dwie alternatywy: albo uwieść jakąś właścicielkę mieszkania – choćby była ostatnią wywłoką – albo wracać do rodziców, jako życiowy bankrut?

Przypomniałem sobie starszą od siebie cysną kelnerkę z restauracji przy dworcu Warszawa Główna. Zachodziłem tam czasem po wieczorkach tanecznych coś przekąsić, a ona obdarowywała mnie zalotnymi spojrzemiami. Przynajmniej mógłbym bez zahamowań położyć się z nią do łóżka.

– Coś się panu stało w rękę? – zapytała kiedyś, patrząc na moją dłoń owiązaną brudnym bandażem.

Właśnie kładła przede mną wątróbkę z ziemniakami i kiszoną kapustą.

– Podrapał mnie kot – skłamałem, zatajając powinność wykidajły, która wymusiła, żebym puknął w zęby dyskotekowego chuligana.

– Od takiego zadrapania można dostać zakażenia – powiedziała.

Już na końcu języka miałem propozycję, że po pracy odprowadzę ją do domu i poproszę o zrobienie mi świeżego opatrunku. Jednak zabrakło mi odwagi.

Po kolacji dałem jej osiem złotych napiwku, a gdy się wzbraniała z przyjęciem pieniędzy, powiedziałem:

– Przepraszam, ale jakoś chcę wyrazić wdzięczność, w końcu obsłużyła mnie urocza kobieta.

Na jej twarzy pojawił się rumieniec. Gdy wsypałem jej do kieszeni fartuszka garstkę monet, pogłaskała mnie po przybrudzonym bandażu.

– Pan też jest uroczym facetem – zrewanżowała się, odchodząc.

Potem przez dłuższy czas nie zachodziłem do kolejowej restauracji. Nie szczególnie byłem zainteresowany romanssem ze starszą od siebie kelnerką. Robiliśmy z Jońskim próbne zdjęcia ładnym licealistkom, zainteresowanym wystąpieniem w filmie. Uważały mnie za filmowego twórcę. Co by pomyślały, widząc mnie idącego pod rękę ze starszą, wprawdzie mającą czym oddychać i na czym siedzieć, kelnerką z dworcowej restauracji?

Teraz miałem gdzieś wymuskane licealistki, które zwracały się do mnie: „panie reżyserze to, panie reżyserze tamto...”. Trzeba było walczyć o dach nad głową. Pewnego wieczoru ogolony, w świeżej, wyprasowanej koszuli ruszyłem na dworzec Warszawa Główna, żeby bajerować kelnerkę o powabnych krągłościach. Usiadłem przy ciemnym piwie i czekałem, aż skończy pracę. Koło północy przy bufecie pojawił się rosyły facet o twarzy przypominającej buldoga. Jeszcze miałem złudzenia, Wyszedłem przed opustoszały w nocy dworzec. „Zaczekam, aż pozbędzie się tego typu”? Jednak nadzieje na zamieszkanie u niej przysły jak mydlana bańka. Schowałem się za ogłoszeniowy słup i patrzyłem na kelnerkę kręcącą pękaty mi pośladkami, oddalającą się z facetem o antypatycznej facjacie.

Jak zdobyć dach nad głową, podpowiedziała gardząca mną ciotka z Żoliborza. Jej trójka dzieci pilnie się uczyła, starszy syn kończył medycynę, a mnie uważały za życiowe dno.

– Nie masz gdzie mieszkać? – Zaatakowała mnie ciotka, w wejściu do swego mieszkania.

Poczułem zapach szpitalnej pralni, charakterystyczny dla tej rodziny. Tam używano wyłącznie szarego mydła. Już miałem zamiar odwrócić się bez słowa i odejść, kiedy nieco łagodniejszym głosem zaproponowała wypicie herbaty. Nie zdradzając filmowych planów, powiedziałem, że przez pewien czas muszę zostać w Warszawie. Herbata miała żółtawe zabarwienie, a jej smak niczym się nie różnił od oszczędnie osłodzonej letniej wody. Ciotka, w istocie daleka krewna, zaczęła świdrować mnie wzrokiem. Chwilę gapiła się, jakby chciała mnie hipnotyzować, by po chwili ponownie wyjść do kuchni.

Przypomniałem sobie rodzinne plotki. Mówiono, że i ona przed laty marzyła o filmowej karierze. Musiała przeżyć zawód, bo nie znosiła środowisk twórczych. Kiedyś z nienawiścią zaatakowała kuzynkę, gdy siostra cioteczna zdecydowała się wyjść za mąż za znakomitego polskiego aktora Tadeusza Łomnickiego.

„Ten kurwiarz miał już trzy żony”! – darła się jak opętana na wystraszoną córkę siostry mojej Matki.

Wróciła, wymachując poplamioną tłuszczem gazetą. Teraz patrzyła na mnie jak jastrząb, na ranną, niezdolną do ucieczki polną mysz. Miałem ochotę bez słowa wyjść z jej mieszkania. Na pożegnanie zatrzaskałem drzwi tak mocno, żeby z okiennych parapetów pospadały doniczki. Jednak intrygowała mnie poplamiona gazeta.

– Wiem, że chcesz pisać, ale jeśli myślisz, że to zajęcie dla lekkoduchów i chuliganów, którzy zamiast się uczyć, zbijają baki? To jesteś w błędzie. Chcesz być pisarzem? Proszę bardzo, ale poznaj od podstaw życie.

Poczułem ulgę, że przynajmniej nie wie o moim filmie.

– To, co mam robić?

– Najpierw zarób na swoje utrzymanie i nie bądź społecznym pasożytem.

Z ironicznym uśmiechem otworzyła potłuszczoną gazetę i pokazała ogłoszenie o wolnych etatach dla niewykwalifikowanych robotników budowlanych. Zapewne była zwolenniczką komunistycznych metod karaniania nierobów ciężką pracą fizyczną.

– Masz szansę na łóżko w robotniczym hotelu...

* * *

Po wyjściu od ciotki nie wsiadłem na Placu Wilsona do tramwaju jadącego w stronę Śródmieścia. Był chłodny wieczór, z drzew spadały pierwsze liście, twarz nawilżała mi zimna mżawka. Idąc w stronę Placu Inwalidów, przyspieszyłem kroku. Zaczęła mnie rozgrzewać myśl o poddaniu się nieswoistemu treningowi, podobnemu do rozładunku wagonów. Pomyślałem, że pójście w ślady Figofago, nie byłoby złe. Rano

wzmacniałbym mięśnie, a popołudniami i wieczorem pracowałem nad dokończeniem montażowego filmu.

Ciężkie okazały się tylko pierwsze tygodnie na wielkiej budowie osiedla Ursynów. Udało mi się przywyknąć do wyładunku z ciężarówek worków z cementem, pracy przy betoniarce, lub wożenia taczka do wind bloczków z gazobetonu. Możliwości zarobkowe, dla mnie, robiącego poprzednio cinkciarskie geszefty, były mizerne. Przyjąłem więc wyszydzaną przez komunistyczne władze maksymę bumelantów. „Czy się stoi, czy się leży, dwa tysiąki się należy”. Nabrałem wprawy w znikaniu z zasięgu wzroku majstrów i brygadzystów. Zasadę bumelantów i nierobów wcielałem w życie dosłownie. W budynkach z wielkiej płyty szukałem zakamarka z kaloryferem (ogrzewano budynki, żeby szybciej wysychały kładzione tynki), mościłem legowisko styropianem i przykryty waciakiem zapadałem w błogi sen. Dla picu, że niby solidnie pracuję, ochoczo zgłaszałem się w godzinach rannych do wyładunku ciężarówek lub pojeżdżenia obciążoną taczka. Działalem zgodnie z zasadą podnoszącego bokserów walory Figofago. Jeszcze nie dawno byłem bramkarzem, wtedy ćwiczyłem na siłowni, szkoliłem kulturystów w boksie, czasem z nimi sparowałem. Musiałem być w formie, nieraz trzeba było pacyfikować chuliganów. Teraz zapewniłem sobie kurację, chroniącą mnie przed sflaczeniem mięśni. Wraz z innymi robotnikami rozładowywałem ciężarówkę, machałem łopata, albo z furią waliłem kilofem. Dozowałem sobie wysiłek, co najwyżej dwu – trzygodzinny, rzadko musiałem pracować dłużej. Staralem się, żeby brygadzista widział, jak zapalczywie pracuję. Po „treningu” wyczekiwałem na odpowiedni moment i czmychałem do jednej z upatrzonych kryjówek. Chwilami ten czas, który zdaniem ciotki z Żoliborza miał być dla mnie karą za pasożytnictwo, nieuctwo i inne przywary, których potrafiłaby wyliczać całą litanię, okazywał się całkiem znośny. Zdarzały się pogodne dni, kiedy czułem się jak na wakacjach. Już w drodze do pracy, zbliżając się do szarego krajobrazu budowanego osiedla z ciemnymi oczodołami, nieoszlonych jeszcze okien, ogarniała mnie radość na myśl o zaczynającym się dniu. Po ciemnej nocy na horyzoncie czerwienią malował się brzask, a ja szedłem podekscytowany jak na biwak. Wiedziałem, że po mięśniowym wysiłku, ukryty w niedawno wyszukanych zaroślach, rozłożony na zastępującej pierzynę bujnej suchej trawie, rozpalę małe ognisko. Upiekę na patyku kielbasę, która z ćwiartką trzeszczącego świeżością chleba, popijana zbożową kawą, będzie bardzo smaczna. Potem, dogrzewany tłącymi się szczapkami drewna i głaskany promieniami późnojesiennego słońca zapadnę w drzemkę. Jako tępiony przez komunę bumelant, budziłem się z satysfakcją hazardzisty, który oszukał życiowe przeznaczenie, by nie stać się przegranym ponurakiem. Czułem się wolny i właśnie wtedy rodziły mi się w głowie zabawne lub zaskakujące filmowe pomysły. Niektóre dotyczyły montowanego materiału filmowego, inne postanowiłem zapisywać. Mogły się przydać w przyszłości. Zacząłem nosić do pracy plastikowy kalendarzyk i kolorowy długopis. Notowałem co ciekawsze wytwory wyobraźni...

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Kazjuno, dodano 22.07.2019 12:38

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.